

Jolanta Reisch-Klose

Kisei, po polsku Kasia

Czarne oczy o migdałowym kształcie patrzą uważnie. Jest w nich powaga, ciekawość i smutek.

– Poznajcie Kisei, przyjechała do nas z Japonii – pani Ania głaszcze dziewczynkę delikatnie po ramieniu i uśmiecha się zachęcająco. – Zaopiekujcie się nią – zwraca się do siedzących przed nimi w ławkach dzieci.

Klasa V a, której pani Ania jest wychowawczynią, od kilku dni już wie, że dołączy do nich nowa koleżanka. Z zagranicy. Rozmawiali o tym. Staszek i Franek, bliźniacy, którzy zawsze we wszystkim się ze sobą zgadzają, są pewni, że nowa koleżanka przyjedzie z Ukrainy. Zosia, Majka i Tośka – trzy najlepsze koleżanki nazywane przez wszystkich, nawet przez nauczycieli, Trójeczką Majeczki – założyły się, że na pewno z Wysp, z Irlandii albo z Anglii.

– Będzie z kim rozmawiać po angielsku – upiera się z nieomylnością szefowej rudowłosa Majka. Czarnowłosa Tośka i drobna blondyneczka Zosia przytakują jej bez mrugnięcia okiem. Leon, który dołączył do klasy dwa lata wcześniej i wciąż siedzi sam w pierwszej ławce, ma wielką nadzieję, że nowa koleżanka, tak jak on, przyjechała z Berlina.

Dziewczynka o migdałowych oczach waha się przez chwilę. Mruży oczy, przygląda nowym koleżankom i kolegom. Pani Ania powiedziała jej rano, że sama może wybrać miejsce w klasie. Może przysiadzie się do tych trzech dziewczynek pod oknem. Może usiadzie sama w ostatniej pustej ławce. A może... Kisei podnosi plecak i zdecydowanym krokiem pochodzi do pierwszej ławki. Jej czarne oczy w kształcie migdałów spoglądają z niebieskie oczy chłopca o długich jasnych włosach.

– Może ona usiąść? – pytanie pada po chwili namysłu, bo chociaż Kisei od lat uczy się języka polskiego, to jednak formowanie zdań wciąż przychodzi jej z trudem.

Leon uśmiecha się szeroko i odsuwa krzesło. Wie, że wygrał nową koleżankę. Ciekawe, czy będzie jej mógł wyznać swoją tajemnicę – zastanawia się, marszcząc brwi. Bo Leon ma swoją wielką tajemnicę, którą nie podzielił się z nikim z klasy, a którą przywiózł ze sobą z Berlina.

Najczęściej spotykają się u Leona. Jego pokój Kisei lubi najbardziej. Nie ma tam krzeseł tylko miękkie dywan, a na nim dużo poduszek. Mama Leona kupiła im nawet dwie maty tatami. Teraz Kisei czuje się trochę jak w rodzinnym domu. Woli ten dom od mieszkania dziadka, gdzie wszystkie krzesła i stoły są wysokie. Nawet na swoje łóżko musi się wspinać jak na wieżę. Mama Leona tak miło się uśmiecha i głaszcze Kisei po czarnych błyszczących włosach. Wtedy Kisei czuje się trochę smutna i trochę szczęśliwa. Smutna, bo jej rodzice wyjechali do dalekiej Afryki, by pomagać chorym dzieciom. Mama tłumaczyła jej, że oni, Lekarze bez Granic, muszą jeździć, bo gdzieś tam daleko dzieci chorują, i nie ma kto ich leczyć. Kisei nawet chciała zachorować, żeby rodzice zostali z nią. Była jednak zdrowa jak ryba. Tymczasem doktor Hanna Sasaki i jej mąż doktor Makoto Sasaki – rodzice Kisei – wyjechali pół roku wcześniej na misję do Afryki. Mieli wrócić po dwóch miesiącach, ale stało się coś strasznego. Zniknęli. Nikt nie wie gdzie. Może ktoś ich porwał, a może stało się coś jeszcze innego? Gdy długo nie wracali, dziadek Antoni przyjechał po nią do Tokio i zabrał do Polski.

– Tu będziemy na nich czekać – taką decyzję podjął i nie pomógł płacz Kisei i nalegania jej japońskich ciotek.

– Dobrze, że Kisei poznałam Leona i jego mamę. Tu dobrze czekam na rodziców – dziewczynka kiwa głową do nowego przyjaciela, a Leon doskonale ją rozumie.

Lubią tak siedzieć na dywanie w pokoju Leona, każde zatopione w swoich myślach. Nagle Kisei z niechęcią odkłada trzymaną w ręku książkę na poduszkę obok.

– Nie umie czytać, słabo czyta.

Leon potakuje. On świetnie czyta, bo nawet w Berlinie spędzał z mamą długie godziny na słuchaniu, czytaniu i układaniu bajek i innych fantastycznych opowieści. Z czytaniem i mówieniem w trzech językach nie ma żadnych trudności, a teraz może nawet nauczyć się trochę japońskiego. Na razie jednak trzeba rozwiązać problem Kisei. I on wie, jak go rozwiązać. Tylko potrzebuje do tego pomocy mamy.

– Mam pomysł – zdradza zaciekawionej Kisei. – Jutro pójdziemy do schroniska dla psów.

Przynieś swoją ulubioną książkę. Albo nie. Weźmiemy jakąś lekturę! – Leon zrywa się z podłogi i z uwagą zaczyna przeglądać książki na sięgającej niemal do sufitu półce. Wreszcie z triumfem wyciąga z nich jedną z książek. Kisei patrzy na niego zdumiona. Nie wie, co to za miejsce to schronisko dla psów, a jeszcze bardziej nie wie, po co ma tam zabierać książkę. Zresztą ona woli koty.

– Zobaczysz – Leon cieszy się, że udało mu się zaskoczyć nową przyjaciółkę. – Musisz dać nam tylko kilka dni – celuje w jej stronę ręką, w której trzyma wyciągniętą przed chwilą książkę. Patrzy na nią z uwagą. – O, proszę, jaka lektura mi się trafiła. *Chłopcy z Placu Broni* – czyta powoli i się uśmiecha. – Zobaczysz, będzie super, tylko daj nam kilka dni...

– Za dziewczyną będziesz się chował – głos Franka przypomina syk węża. Staszek stoi ramię w ramię z bratem, drwiąco się przy tym uśmiechając.

Leon robi krok i staje przed Kisei, która przed chwilą zrobiła dokładnie to samo. Gdy na podwórku szkolnym bracia bliźniacy zagrodzili im drogę, Kisei stanęła przed Leonem, jakby chciała go sobą osłonić.

Leon nie lubi chłopaków bliźniaków Staszka i Franka. Dokuczają mu od kiedy dwa lata temu przyszedł do ich klasy. Śmieją z jego długich włosów i z tego, że zna odpowiedzi na pytania zadawane przez nauczycieli. I że nie chce się z nimi bić. Mama i tato wiele razy powtarzali mu, że przemoc nie jest wyjściem. Zresztą ich jest zawsze dwóch, a on jeden. Raz wyrwali mu plecak, a zeszyty i książki wylądowały w kałuży. Innym razem scyzorykiem, którym tak się chwalili, pocięli mu na drobne kawałeczki sznurówki w traperach i musiał wracać do domu w szkolnych tenisówkach. Czepiali się go przy każdej okazji.

Gdy zaprzyjaźnił się z Kisei, było mu wstyd, że tak schodzi im z drogi. Ale potyczka z bliźniakami nie skończyła się dobrze. Umazali mu twarz błotem i podarli książkę z biblioteki. Oczy Kisei zwężyły się w cienkie szparki, gdy obserwowała tę sytuację.

Dzisiaj już nie patrzy. Robi dwa kroki i staje przed Leonem. Bliźniacy się śmieją i nie ustępują. Franek wyciąga rękę, by pchnąć dziewczynkę. Kisei robi jeszcze jeden krok do przodu. Znienacka łapie za wyciągniętą w jej stronę rękę Franka. Wszystko dzieje się w ułamku sekundy. Skręcona w łokciu ręka Franka nagle ląduje na plecach zdziwionego chłopca, a on sam, oszołomiony, aż piszczy z bólu. W kolejnej sekundzie dziewczynka puszcza rękę kolegi, cofa się o krok i ku zdziwieniu wszystkich, składa ręce jak do modlitwy. Pochyla przy tym głowę, jakby dziękowała Frankowi za coś. Zaskoczony chłopak wciąż klęczy na ziemi. Staszek podbiega do brata i pomagając mu wstać, krzyczy w stronę Kisei i Leona:

– Jeszcze tego pożałujecie!

– No co! Nigdy nie słyszałem o aikido – Kisei łapie zdziwione spojrzenie Leona. – To sztuka samoobrony. Zaczęłam trenować, gdy miała cztery lat.

Leon trzyma w ręce gruby plik plakatów, a Kisei gwoździarkę, która wygląda trochę jak pistolet na zszywacze. Od godziny chodzą po całej dzielnicy i wszędzie gdzie się tylko się da przyczepiają plakaty. *Zaginął kotek. Nazywa się Mikuś. W domu czeka na niego Zuzia.* Z plakatu uśmiecha się trzyletnia dziewczynka o kręconych blond włosach, tuląca do siebie białego kotka. Zuzia mieszka w tym samym domu co Leon. Dwa dni wcześniej zniknął jej kotek. Nikt nie wie, jak to się stało. Pewnie ktoś zostawił uchylone drzwi i Mikuś skorzystał z okazji. Przez wiele godzin rodzice Zuzi i sąsiedzi chodzili po okolicznych podwórkach, po parku i po niedalekiej łączce, wołając Mikuś, Mikuś. Bez większego rezultatu. Co było jednak najgorsze, wieczorem ktoś podrzucił na wycieraczkę przed mieszkaniem Zuzi list.

Wasz kotek jest porwany, Trzeba zapłacić milion złotych.

Nikt nie wiedział, co dalej robić. Wtedy Kisei i Leon wpadli na pomysł, by wydrukować plakat i rozwiesić go w całej dzielnicy. Teraz stali przed starym walącym się domem i zastanawiali się, czy na płocie powiesić jeden plakat czy kilka.

– Nie wiem, czy wieszać przed taką rudera. Tu chyba nikt nie chodzi – Leon kiwa przecząco głową, patrząc na stary dom.

– Co to jest rudera? – pyta Kisei, dla której wciąż wiele wyrazów z języka polskiego stanowi zagadkę.

– Rudera – Leon poprawia ją machinalnie. – To taki bardzo stary dom, jak ten. Widzisz, dach już zupełnie się zapadł. A patrz tam! Wyrosło nawet na nim małe drzewo. Okna wybite, drzwi wywalone. Już dawno nikt tu nie mieszka.

– Dlaczego? – Kisei pierwszy raz widzi takie miejsce. Przygląda mu się z uwagą.

– Ten pan, co tu mieszkał, umarł już dawno, dawno temu. Dom stał pusty i zawalił się.

– Idzie do środka? – dziewczynka patrzy na niego wyczekująco.

– Kto? Ja? – Leon robi wielkie oczy.

– Razem – odpowiada rezolutnie i bardzo poprawnie po polsku Kisei, popychając ledwo trzymającą się na zawiasach furtkę.

– Tam może być niebezpiecznie – ostrzega Leon, ale i jego korci spenetrować nieznane tajemnicze miejsce.

Drzwi dają się otworzyć. W środku jest ciemno, bo przez dziurawy dach ledwo przedziera się światło dnia. Leon wyciąga smartfona i włącza latarkę. Snop światła omiata korytarz zavalony pokruszonymi cegłami.

– Tu naprawdę jest niebezpiecznie. Już raz się zawaliło, może znowu...

– Cicho – przerywa mu Kisei. – Szłyszysz?

Obydwoje zamierają w bezruchu. Wtedy ciszę przerywa delikatne smutne miauknięcie.

– Mikuś! – krzyczy Kisei i mocnym pchnięciem otwiera najbliższe drzwi.

– Stój, poczekaj! – Leon chce ją zatrzymać, ale jest już za późno. Dziewczynka przechodzi przez stertę gruzu i wbiega do ciemnego pokoju.